Nr. 21. Sobota dnia 24-go maja 1913.

Gość Świąteczny.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę drugą po Zielonych Świątkach.

LEKCYA

z listu św. Jana rozdział III, wiersz 13—18.

Najmilsi! Nie dziwujcie się bracia, jeśli was świat nienawidzi. My wiemy, iżeśmy przeniesieni z śmierci do żywota, iż miłujemy bracią. Każdy, co nienawidzi brata swego, mężobójca jest. A wiecie, iż wszelki mężobójca nie ma żywota wiecznego w samym sobie trwającego. W temeśmy poznali miłość Bożą, iż On duszę Swą za nas położył; i myśmy powinni kłaść duszę za bracią. Ktoby miał majętność tego świata, a widziałby, że brat jego ma potrzebę, a zawarłby wnętrzności swe przed nim, jakoż w nim przebywa miłość Boża? Synaczkowie moi, nie miłujmy słowem, ale uczynkiem i prawdą.

EWANGELIA

u św. Łukasza rozdział XIV, wiersz 16—24.

Onego czasu powiedział Jezus Faryzeuszom następującą przypowieść: Człowiek niektóry sprawił wieczerzą wielką i wezwał wielu. I posłał sługę swego w godzinę wieczerzy, aby powiedział zaproszonym, żeby przyszli, boć już wszystko gotowe. I poczęli się wszyscy spółecznie wymawiać. Pierwszy mu rzekł: Kupiłem wieś i mam potrzebę wyniść a oglądać ją. Proszę cię, miej mię za wymówionego. A drugi rzekł: Kupiłem pięć jarzm wołów i idę ich doświadczać: proszę cię, miej mnie za wymówionego. A inny rzekł: żonęm pojął, a przeto nie mogę przyjść. A wróciwszy się sługa, oznajmił to panu swemu. Tedy się gospodarz rozgniewawszy, rzekł słudze swemu: wynidź rychło na ulice i uliczki miasta, a ubogich i ułomnych czniów szkół wyższych Polaków-katolików, kształco-Panie, stało się, jakoś rozkazał, a jeszcze jest miejsce. I rzekł pan słudze: Wynidź na drogi i opłotki, a przymuś wniść, aby był dom mój napełnion. A powiadam wam, żeć żaden z onych mężów, którzy są zaproszeni, nie ukąsi wieczerzy mojej.

NAUKA.

Szczęśliwy, kto należy do Kościoła katolickiego.

„Powiadam wam, że żaden z tych mężów, którzy są zaproszeni, nie skosztuje wieczerzy mojej“.

Gospodarz ów ewangeliczny widocznie się obraził, że goście zaproszeni na jego wielką wieczerzę nie przyszli. I miał się czego obrazić, zapraszał ich bowiem najpierw sam serdecznie, a potem przez sługę swojego; zastawił też stół dla nich wcale obfity, oni jednak nie przyszli. Postanowił więc sobie na wieczerzę swoją więcej ich nie prosić i powiedział, że żaden z nich nie skosztuje wieczerzy jego.

Tym gospodarzem, to sam Jezus Chrystus, goście zaś, co wzgardzili wieczerzą, to żydzi, a wieczerzą samą, to święty nasz katolicki Kościół. Do tego Kościoła Pan Jezus sam wzywał najpierw żydów, wzywał ich potem przez sługi swoje, przez apostołów; oni jednak wezwaniem tem pogardliwie wzgardzili. I do dzisiaj nie widać ich w naszym katolickim Kościele. Na miejsce ich przyszli ubodzy, ułomni, ślepi, chromi, przyszli z poza dróg i dróżek inni i zasiedli w tym Kościele gromadnie. My to właśnie tymi jesteśmy, których Pan Jezus z pogaństwa powołał do tego Kościoła. I dobrze nam tu jest, bardzo nawet dobrze.

Cóż przecie dobrego daje nam święty nasz Kościół? albo, co my stąd mamy dobrego, że należymy do świętego Kościoła, czego żydzi jednak nie znają.

Stąd właśnie, że jesteśmy w Kościele Chrystusowym, mamy Jezusową najpierw naukę. A nauka ta Pana Jezusa, jakaż ona słodka i pełna dla nas pociechy. Komuż bowiem z płaczących i zasmuconych serce jego się nie rozweseli, kiedy P. Jezus doń tak przemawia: „błogosławieni, którzy płaczą, albowiem oni będą pocieszeni“ (Mat. 5, 5). Albo, jeżeli kogoś ludzie prześladują i zatruwają mu życie, czyż taki człowiek i siłę i pomoc nie znajduje w tych słowach P. Jezusa: „jeśli mnie prześladowali i was prześladować będą, ale ufajcie, jam zwyciężył świat“ (Jan 15, 20). Tak samo i ten, którego ubóstwo przygniata, czy w górę głowy nie podniesie, kiedy te słowa Jezusowe usłyszy: „błogosławieni ubodzy, bo wasze jest królestwo Boże“ (Łuk. 6, 20). Największą jednak niedolą człowieka to jest, kiedy Boga ciężko obraził. Ani mu ku niebu spojrzeć wtedy spokojnie, ani ludziom w oczy śmiało popatrzeć. Nieech jednak i taki na to wspomni sobie, że Pan Jezus przyjmował grzeszników i jadał z nimi (Mat. 9, 11), niech sobie przypomni, że w niebie radość wielka nad jednym grzesznikiem, pokutę czyniącym (Łuk. 15, 7), a wnet nad jego głową całe się wypogadza niebo. Cały świat nawet inaczej już w oczach jego wygląda.

Jezu nasz drogi, cóżby nam począć przyszło w ciężkich chwilach życia, gdybyśmy Twojej nie mieli nauki. A żydzi jej nie mają. To też smutek każdy podwaja się dla żyda, ubóstwo zaś największem dla niego nieszczęściem, bo nauka Jezusa mu nie przyświeca. Więc Panie, dzięki Ci za to, żeś nam zostawił skarb nauki Twojej, która nam w życiu naszem tyle pociechy przynosi.

I święte Sakramenta mamy jeszcze dlatego, że jesteśmy w katolickim Kościele. U żydów ich nie szukać. A między innymi Najświętszy posiadamy Sakrament, samego posiadamy Jezusa z Bóstwem Jego i człowieczeństwem. I nie trzeba nam chodzić gdzieś daleko, żeby znaleźć ten Najśw. Sakrament. On tak blizko przy nas, w kościółku naszym, o kroków zaledwie kilkanaście nieraz. I kiedy mnie bieda przyciśnie, kiedy smutek i boleść serce me

owładnie, ja do tego Jezusa wtedy pospieszę, wynurzę się przed Nim, wyżalę, wyskarżę, i pocieszony powracam do siebie, podniesiony na sercu.

Nieraz też bywało, przychodzisz do kościoła i zastajesz wystawiony Najśw. Sakrament. Nie prawdaż, że duszę twą dziwne naówczas przejmowało uczucie. Mówiłeś sobie: tu jest mój Jezus, który wyniszczył samego siebie, kiedy stał się człowiekiem, i teraz się jeszcze dla mnie wyniszcza, ukrywając się tu pod tą chleba postacią. I jeszcze sobie mówiłeś: Jezus ten sam, obecny tutaj, szczęściem jest nieba całego, aniołowie przed Nim na twarz upadają, a On nie wzdryga się mieszkać między nami mimo grzechów naszych. Jakże cichy On tu, nawet Go i nie znać, a w dzień sądu z mocą On przyjdzie i majestatem sądzić żywych i umarłych. I mnie wtedy sądzić On przyjdzie. I wpatrując się w ten Najśw. Sakrament, rozmyślając o Nim, dobrze ci było, słodko, rozkosznie, jak rozkosznie dziecku na łonie matki kochanej. Kto zaś tego szczęścia nie zaznał przed Najśw. Sakramentem, ten nie wie nawet, jak szczęście prawdziwe wygląda.

Nieraz bywałeś pewnie i na procesyi, na której kapłan obnosił w monstrancyi Najśw. Sakrament i wraz z innymi wtedy śpiewałeś: „Z chórów swoich aniołowie — Niebiescy Boga duchowie — Zstąpcie do tego padołu — Śpiewajcie z nami pospołu". I śpiewałeś: „Zróbcie Mu miejsce, Pan idzie z nieba — Pod przymiotami ukryty chleba — Zagrody nasze zwiedzić przychodzi — I jak się dzieciom Jego powodzi". I wtedy łza wdzięczności dla P. Jezusa zabłysła w twem oku, a serce ogarnęło wesele szczęścia, że taki dobry ten Jezus, że zwiedza nasze zagrody i o tem rad wiedzieć, jak nam się powodzi. Gdzież więc jest naród inny, któryby zaraz przy sobie miał Boga swojego, jako my Go mamy w Najśw. Sakramencie? A to szczęściem naszem, prawdziwą na tej ziemi pociechą. Dla żydów jednak źródło tej pociechy zamknięte.

I o mszy świętej nie zapominajmy. Dlatego tylko bierzesz w niej udział, bywasz na niej obecnym, żeś członkiem katolickiego Kościoła. I wraz z kapłanem ofiarujesz wtedy i ty Jezusa Pana pod chleba i wina postacią Bogu Ojcu za grzechy swoje. Możeż to być, żeby taka ofiara Boga Ojca nie przebłagała za twe nieprawości? To też po nabożnem wysłuchaniu mszy świętej lżej ci na sumieniu, a w duszy pogodniej. — Ale od tego dobrodziejstwa żyd wykluczony.

Cóż więc o tem ci powiedzieć, co ci Kościół katolicki daje? Zawołać ci tylko: ty, niebo całe i ty, cała ziemio, wysławiajcie Pana, bo dobry jest, bo końca niemasz dobroci Jego.

O jednem jeszcze nam pamiętać, o tem, jak to Kościół podniósł niezmiernie godność niewiasty. Dawniej, przed Panem Jezusem, jakże niewiasta była nieszczęśliwą, bo była niewolnicą mężczyzny. I dzisiaj jeszcze tak jest u pogan. — Tam nie wolno jej wychylić się poza dom swój, nie wolno do żadnej sprawy się mieszać, w gronie mężczyzn nie wolno jej nigdy się zabawić. Od urodzenia aż do śmierci w niewoli żyje i w poniżeniu niewiasta u pogan.

Gdyby nie Pan Jezus i twoja dola, niewiasto chrześcijańska byłaby gorzką bardzo. Tylebyś dzisiaj jeszcze znaczyła, co ten pies na łańcuchu, co w stajni krowina. A teraz ty z mężem swoim równe masz miejsce w rodzinie, a nawet na tobie trzy węgły domu się opierają. Na weselu, na chrzcinach, na innych też zabawach z mężczyzną wspólnie się zabawiasz. Tak i w kościele takie samo miejsce tobie się należy, jak i mężczyźnie. U żydów już inaczej. Tam żydówka nie śmie się w bożnicy pokazać, chyba gdzieś na strychu i osobno. I wy, niewiasty chrześciańskie, dobrze to czujecie, co wam Kościół dał, co wam dał Pan Jezus, i za to pewnie więcej Go też kochacie, niżeli mężczyzni.

Cóż więc? czy nam nie klęknąć i rąk naszych nie złożyć, nie zawołać: Chwała Ci, Jezu nasz, żeśmy w Kościele katolickim, żeś nas wezwał na swoją wieczerzę. Amen.

Majowe nabożeństwo.

Naprzykrzyła się Jaśkowi Magierce służba, bo od dziecka wysługiwał się ludziom.

Dobył do Świętego Wojciecha i odszedł. Chcieli go gwałtem zostawić, pensyę podwyższali, ale się zawziął i zostać nie chciał.

Głodu nigdy nie zaznał, przyodziewek miał jaki taki, nawet kilkadziesiąt papierków uskładanych, ale co to znaczy! W innych krajach byłby już przy zegarku chodził, a może i zagrodę kupił.

Zagrodę!

Opowiadał mu na jarmarku pan jeden, co za morzami bywał, że tam gotowe gospodarki dają, każdemu co zechce, i to jakie! Ziemia bez mierzwy rodzi, co w nią wrzucić: pszenicę to pszenicę, jęczmień to jęczmień... na jedną orkę nawet! Kartofli, to miarę z pod jednego krzaka wydłubie. Straśnie bujny grunt! a i lasu nie brakuje, — „bieraniną" nikt nie pali. Po co? Byle siekierę miał, spuści dębczaka czy sosnę. Nikt nie broni.

Taki kraj!...

I płacić nikomu nic nie trza, byle na drogę starczyło — darmo dają. Dla czego darmo? No... bo... narodu nie wiele, a gruntu huk! niejedna wieś, to, bez mała, jak cały powiat u nas.

Wszystko to Jaśkowi dokumentnie opowiadał ten pan i radził:

— Człeku, ty tu ręce po łokcie urobisz i parobkiem do śmierci ostaniesz, a tam mógłbyś żyć, niczem dziedzic jaki, i jeszcze matce przez pocztę dosyłać, jeśli rodzicielkę masz...

Ludzki pan! Nagadał się, jeszcze piwem poczęstował i „adrys" dał na wszelki przypadek, gdyby Magierka chciał zamorskiego dobra zażyć.

Dla czego miałby nie chcieć! Już wtedy na jarmarku pomyślał sobie, że byle do terminu dosłużyć, a potem...

„Adrys" ma, do pruskiej granicy niedaleko, dobrze idąc, w półtora dnia stanie, pana odszuka, i niech się dzieje co chce!

Jednem się jeno trochę strapił — mową. Już w Prusach z niekażdym zgadać się można, a cóż dopiero za morzami? ale... ale po trochu to się i obcej gwary poduczy. Ludzie się różnych rzeczy uczą, jak im trza. Taki organista z łacińskiej książki czyta, ani się zachłyśnie.

Co tam! byle na drogę starczyło. Choćby „ulgę" na przejazd wyrobić, to zawsze kilkadziesiąt papierków pęknie... Szmat drogi!

Myślał... myślał... a im bliżej Świętego Wojciecha, to go bardziej ciągnęło. Radby był o tem z ludźmi pogadać, ale się bał... ludzie chytrzy mogliby mu przez zazdrość zbrzydzić. Pan ów ostrze-

gał, że dwory stoją na przeszkodzie, niby dla tego, żeby ze wsi rąk nie ubywało. Wiadoma rzecz, dla dziedzica lepiej, jeśli w żniwa ma kto na „pańskie" chodzić...

Układał sobie w głowie Magierka, ale pary z ust nie puszczał, jeno gdy ludzie coś zmiarkowali, powiadał kłamiąc, że się do sąsiedniej wioski zgodził. Przed matką — choć mu markotno było — toż samo... Żal mu było rzucać „rodzoną", żal krzepił jednak tem, że jak się dorobi, to matuli warzone, pieczone dosyłać będzie, a nie, to ją do siebie zabierze....

Szykował się cięgiem, ale skrycie, żeby go kto nie podpatrzył i nie wydał; tak go paliło, że w nocy bywało, budzi się po „adrys", schowany za belką — i radby ptakiem polecieć. Czasem we śnie wydawało mu się, że tam już jest. Dali mu w jednym półłanku gruntu pszennego morgów trzydzieście, lasu skrawek, ciołków trzechletnich parę, parę koni, krów dojnych dziesiątek... trzody nierogatej i innej gadziny także.... Chałupa na węgieł pod gontem, obora na podmurówce... w stodole klepisko z dębowych bali, a on sam w kaszkiecie, w surducie czarnym, przy zegarku... „galanto!"

Aż złość go brała, gdy się ocknął i przekonał, że to jeszcze nic...

Doczekał nareszcie świętego Wojciecha, zapłatę kwartalną wziął, za służbę podziękował i gdyby nie to, że akurat wypadł we wsi odpust, byłby zaraz w drogę ruszył.

Chciał jednak raz ostatni być na odpuście, między ludźmi się pokazać. Narodu będzie moc z całej gminy — będzie i Jaguśka Matusówna z Dużej woli... Siarczysta dziewucha! W oczach to jej tak świeci, jakby nieprzymierzając krzesiwkiem krzesał!

Teraz, toby go nie chciała... gospodarska córka, a on co? parobek! ale niechno się dorobi! Już sobie z góry umyślił: za pierwszy grosz „hameryckie" korale kupi, słodkiej wódki butelek parę weźmie, szkapy do bryczki założy i do Matusów na zmówiny przyjedzie. Dopieroż będą dziwy! Ze zwyczajnego parobka taki bogacz! Wtedy to całej wsi powie, jak się stało...

Ostał, choć mu się strasznie cniło. Na odpuście nie mógł się docisnąć do Jagusi, jeno ją z daleka pozdrowił. Roześmiała się, bo była wesołą i lubiła zalecanki, ale z Michałem Grzędą poszła, choć Jasiek kiwał, żeby się krzynę wstrzymała... Poczekaj, będziesz ty inaczej śpiewała! Poczekaj! Magierkowa będziesz, niczyja inna! sama się będziesz napraszała!

Po odpuście zeszło mu jeszcze. Miał trochę zimowego obleczenia; kożuch, buty z podkówkami, sukmanę odświętną... Po co mu dźwigać w taką drogę, kiedy tam wszystkiego dostanie! Sprzedał. Miał u szwagra, niby Walka, talarów trzydzieści pożyczki. Wymiętosił. Poszli z wieprzakiem na jarmark, a oddać musieli, choć ani Walkowi, ani siostrze nie było sporo. Zeszło na tem dni cztery — ale co robić!

Nareszcie miał już wszystko w garści.

Wieczorkiem zaszedł do matki, srebrnego talara niby na cukier od kaszlu ostawił, po rękach rodzicielkę wycałował, dla niesposzlaki różności naopowiadał, a we świtanie już go we wsi nie było.

Zrazu — do granicznych kopców było mu strasznie czegoś nijako. Co się obejrzy na niknącą w oddali swoją wieś, to go za serce ściśnie. Nijako — czasem to naprawdę zbierała go chęć wrócić. Ale się zawziął! łzy łykał, a szedł. Od „pasyjki", co na granicy stała, ulżyło mu się. Tu pacierz ukląkłszy zmówił, zawieszony na szyi szkaplerz ucałował, jeszcze raz na rząd chałup popatrzył i kapelusza poprawiwszy — ruszył!

Markotno trochę, ale co tam!... „Adrys" ma, pieniądze na drogę ma, gruntu dostanie, rok, dwa... a potem... Będą wiedzieli ludzie, dlaczego ich rzucił, będą wiedzieli... Zresztą wszystko opisze przez pocztę... dopiero będą dziwy!

I poszedł z wioski rodzinnej, ku Prusom się kierując, tego pana, co mu na jarmarku radził odszukać, a później za morza przepłynąć, na zamorskiej zagrodzie osiąść.

Szedł z małym tobołkiem na plecach, z sękatym kijem w ręku, z wielką nadzieją w piersiach.

„Adrys" miał, pieniądze na drogę miał, a gruntu zadarmo dostanie.

Szedł i marzył. Drogi ubywało. Jasiek nóg nie żałował, pilno mu było. Szedł, ludzi o drogę nie pytając, bo w Sierpcu bywał nieraz. Dopiero za Sierpcem, gdzie się u znajomego szynkarza przenocował, musiał pytać:

— Do Rypina?

— A no, prosto za traktem — odpowiadali.

Szedł, rozglądając się po nieznanych stronach. Co trocha, to mu coś szepnie: u nas we wsi to jakoś inaczej, choć naokoło niby tak samo. I zboże takie, i żyto kołyszące się i gaje i ludzie. Niby takie, a nie takie.

Co tam!

„Adrys" ma... pieniądze na drogę ma!

Byle tylko do Prus dobić. Najgorzej na granicy. Trzeba będzie „szwarcem" takich obchodów, a choćby przyszło za usługę zapłacić — zapłaci.

Już drugi dzień był w drodze. Minął Sierpiec. Bliżej jak dalej, do Ostrowa, do granicy. Szedł teraz trochę wolniej, bo się i cniło i pod podeszwami piekło.

Ludzie oglądali się za nim, po odzieży poznawszy, że z dalszych stron. Czasem ten i ów Boskim słowem pozdrowił i spytał:

— A dokąd to? a po co?

Ciekawość.

Magierka wykręcał się, jak umiał. To do krewnego, co w Ostrowie służy... to do Prus na robotę (mówi) idę.

Prawdy nie rzekł. Bał się. Po co zresztą przed czasem rozgadywać.

Trza jednak było się przed kim zwierzyć, a głównie dla onego „szwarca".

Idzie Magierka a myśli:

— Przy granicy przenocuję u jakiego gospodarza i tam się rozpytam...

A do „granicy" było już niedaleko. Miarkował to po wszystkiem, a głównie po tem, że często na trakcie nieswojaka spotkał, co na „Pochwalony" ludzkiego słowa nie odrzekł.

Trzeciego dnia pod zachód słońca, spojrzał przed siebie: słupy! o kilka kroków jeden od drugiego. Między słupami żołnierz chodzi z karabinem. Ani chybi! granica...

Ścisnęło go coś za gardło i w piersiach zakłuło, podobnie jak wtedy, kiedy się raz ostatni na swoją wieś obejrzał.

Ale szedł.

Droga-trakt kręciła się teraz na zygzak obciętemi wierzbami wysadzona, tuż nad granicą. W oddali widnieje wieś duża. Chałupy, jakby pod sznur stawiane, jedna wedle drugiej, a wedle każdej sad,

drzewiny kępa, cała wieś niby jeden wielki ogród, w majowej zieleni tonąca.

Przyśpieszył kroku.

Słońce kryło się w ziemię, hen! daleko za owe słupy! po pruskiej stronie, zapadało między niebem zarożowionem, a zielonem niwami. Górą szła już szarość, dołem świecił jeszcze pasek błyszczący, mieniący się, niby galon u sukmany.

Ludzie wracali z pola do wsi. Pastuchy pędzili z pastwiska gadziny wszelkiej moc, pośpieszając z batów strzelając. Magierce zrobiło się znowu raźniej.

I w naszej wsi pewnikiem tak samo — pomyślał.

Przystanął chwilkę, słucha. Zadumał się czegoś, po głowie podrapał...

— Ciekawa rzecz, jak to ta w tym „hameryckim" kraju? Musi być podobnie, skoro ludzie tam żyją i do pieniędzy dochodzą. Ludzie!? A no... ludzie, choć pono nie wszyscy chrześcijany, bo i czarni na gębie są. Niech tam! Co będzie to ędzie!

Spojrzał po sobie i przysiadł na uboczu pod wierzbą. Buty zzuł i garścią trawy z pyłu drożnego otarł, żeby się przed obcym narodem ochędożnie pokazać; sukmanę otrzepnął, pod pazuchę sięgnął, czy węzełek z pieniędzmi i „adrysem" ma... znak krzyża uczynił i ruszył do onej wsi.

Idzie...

Już był w opłotkach, aliści przed siebie spojrzał, a tu na skraju wsi, pod figurą, gromadka ludzi. Przy figurze lampka płonie, ludzie głowy odkrywają, klękają...

Sięgnął i on do kapelusza.

— Pobożny jakiś naród — myśli.

Powietrzem przeleciał śpiew...

— Śpiewają... Widzi mi się nabożeństwo.

Westchnął.

— Trza i mnie... Wmieszam się między ludzi... ıeniej będzie się zapoznać.

Idzie...

Ludzie śpiewają, aż się rozlega. Słyszy, coś mu się ochapia...

— A toć już maj! — przebiegło po Jaśkowej głowie. — Akurat maj! Wyszedł po świętym Wojciechu dnia czwartego, w drodze był trzy dni... Akurat maj!

Sunął żywiej... Przykląkł na uboczu. Ludzie niektórzy go zauważyli, ten i ów spojrzał, ale śpiewają dalej... on bije się w piersi i wzdycha...

Pod Magierką zadrżały kolana, wargi mu się zatrzęsły, rękawem po oczach pociągnął.

Spojrzał nieśmiało po modlących.

Przodem, pod samą figurą, klęczał z książką w ręku takusieńki człek, jak Maciej Rzeżuka z jego wsi! akurat z głosu trzęsącego podobny! Obok niego kilku młodszych... gospodynie... dziewuchy. Jedna najbliżej Magierki, w pałąg zgięta, rychtyczek Jaguśka Matusówna! I warkocz taki sam złocisty i chustkę nawet, jakby w jednym sklepie braną.

Magierce się w oczach zaćmiło... Teraz wszystko w obcej wsi wydaje mu się takie, jak w jego, jego rodzinnej! Drzewina..., pola... nawet nieopodal stojąca stodoła... takusienką Mikołaj „z nad stoku" wystawił. Z okrąglaków... strzechą strzyżona w zęby... W oczach Magierki zaczynają latać jakieś płatki, niby motyle, niby iskry z kowalowego kowadła...

A ludzie śpiewają:

„Gwiazdo morza któraś Pana
Mlekiem swojem karmiła"...

Magierka rozchylił usta... I on umie! i on z innymi zaśpiewa...

Podniósł na figurę oczy. Lampka płonie... Najświętsza Panienka z Boskiem Dzieciątkiem, jak żywi! A dzieciątko rączynę drobną wyciąga, prosto przed siebie, i paluszkiem wskazuje... jakby po ludziach, po chałupach wodziło.

Magierce ćmi się w oczach coraz bardziej...

Jęknął: „Gwiazdo morza". Dalej nie mógł, zatknęło go.

A ludzie śpiewają pieśń za pieśnią! On nie może. Którykolwiek z gospodarzy wielkim głosem rozpoczyna:

„Święty Boże, Święty mocny!
Święty a nieśmiertelny!"

Magierka nie może! Jeszcze czegoś żal! Strasznie żal! Patrzy na Matkę Najświętszą, na Dzieciątko, jakby w stronę jego wskazywało...

A ludzie śpiewają:

„Nie opuszczaj nas! nie opuszczaj nas!
O Matko! nie opuszczaj nas!"

Magierce w gardle ściska — piersią niby miechem robi...

Przemógł się wreszcie. Przełknął parę razy i nagle z ust jego wybiegło zamiast pieśni łkanie:

— Nie! nie pójdę! Wrócę! nie pójdę! Panienko Przenajświętsza! Jezu Milusienki, nie pójdę! wrócę!..

Niektóre zdania i przysłowia Fredry.

I największy wydatek nie jest żałośny, kiedy na to wydajesz co właśnie potrzeba. Miej za stracone, co na to łożysz, bez czego się obejść możesz.

Wielka niesłuszność oczekiwać przyjaźni od tego, kogo nie obowiążesz, owszem urazisz. Nie chce się głaskać tego, co kąsa.

Woli drugi nędzne próżnowanie, niż pracę dostatnią.

Więcej ma stopni niższa dola do postąpienia, niż największa. Niższa spodziewa się postąpić, a najwyższa upaść.

Nie to chwal, co kochasz, ale to kochaj, co chwały jest godne.

W jednej sprawie dwoma nie puszczaj się gościńcami, bo żadnym nie dojdziesz.

Lepiej jest swoje stracić, niż cudze niesłusznie zyskać.